

KULTURA



OJOJOJ!

JOANNA KULIG, AKTORKA:

W szkole teatralnej wchodziłam w emocje rozbuchane. Jak płacz, to na full, jak radość, to też na full, a jak smutek, to dół totalny. Te amplitudy mnie wykańczały. Aktorstwo potrzebuje granic.



Na sesji nagraniowej w Studiu im. Agnieszki
Osieckiej w Warszawie – charytatywny projekt
na rzecz Centrum Psychoonkologii UNICORN
w Krakowie.

BEATA MAJKA / ZENTRALA.PL



Krzysztof Globisz, Anna Dymna i Joanna Kulig na kopcu Kościuszki w Krakowie podczas akcji „Każdy ma swoje K2”, wrzesień 2018 r.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie to emocje być pierwszą osobą w historii polskiej kinematografii, która odbiera nagrodę dla najlepszej aktorki europejskiej?

JOANNA KULIG: Prawdę powiedziawszy, aż się wystraszyłam odzewem ludzi w Polsce. EFA to w końcu europejskie Oscary, a „Zimna wojna” dostała ich aż pięć. Więc w pewnym sensie cieszę się, że jestem teraz w Ameryce, z dala od centrum szumu medialnego, bo chyba nie dałabym rady podołać wszystkim oczekiwaniom. Ale jednak radość jest ogromna, co widać na filmiku, który wrzuciłam na Instagram, zaraz po ogłoszeniu werdyktu. Darłam się ze szczęścia jak szalona, aż w pewnym momencie przestraszyłam się, że może dojść do wcześniejszego porodu.

Ameryka jest ziemią obiecaną dla aktora?

Amerykę miałam już okazję z grubsza poznać, bywając tu w ciągu ostatnich lat. Ale faktycznie „taką” Amerykę widzę po raz pierwszy. Sukces „Zimnej wojny” wrzucił mnie na głęboką wodę. Nie zdażałam sobie sprawy, jak potężne stoją przede mną wyzwania. A chciałam się tu wyciszyć. W ogóle to do Ameryki przyleciałam wkurzona.

Bo?

Bo „Kler”. Zanim wszedł na ekrany, dystrybutor wypuścił trailer, w którym, pomimo ustaleń, pojawiła się scena miłosna między moją bohaterką a Trybusem, granym przez Roberta Więckiewicza. No i zaczęła się nagonka w stylu: „Kulig i seks z księdzem”. Jedna wielka obrzydliwość, która odcisnęła się piętnem na moim życiu prywatnym.

„Kler” odniósł ogromny sukces frekwencyjny.

Żeby wszystko było jasne – bardzo doceniam ten film, i bardzo się cieszę, że w nim zagrałam. Generalnie efekt, który wywołał, przerósł najśmielsze oczekiwania. Film sam w sobie może się podobać lub może oburzać, ale dzięki niemu w końcu pojawiła się publiczna dyskusja na temat współczesnego Kościoła w Polsce, jego bolączek, tematów tabu, tego, że w wielu miejscach ksiądz często jest traktowany z automatu jak święty. Często zapominamy, że na początku każdy jest po prostu człowiekiem. I jako człowiek ma prawo do chwil słabości. Ale są też rzeczy, do których żaden człowiek nie ma prawa.

Nie wahała się Pani, czy przyjąć rolę po lekturze scenariusza „Kleru”?

Dla mnie jako osoby wierzącej, która od Kościoła w swoim życiu dostała dużo, wzięcie udziału w tym filmie było bardzo trudną decyzją. Ale postanowiłam to zrobić, bo widzę w tym większy sens. Jako członek wspólnoty nie chcę, aby sytuacje, jakie widzimy w filmie, były zamiatane pod dywan. Aby dawały pożywkę przeciwnikom Kościoła. Jeśli któryś z członków Kościoła dopuszcza się nadużyć, to jak każdy z nas powinien ponosić za to cywilne konsekwencje. Dlatego uważam, że dopóki mury kościelne będą ochroną dla tych, którzy przekraczają granice, to będzie narastać oderwanie Kościoła od wiernych. Niestety, we Francji kościoły pustoszeją, a w Holandii przerabiane są na restauracje.

W „Klerze” bardzo ludzki jest ten duet, który tworzy Pani jako Hania z Robertem Więckiewiczem w roli księdza Tadeusza.

Ich wątek to *love story*. Tadeusz pogubił się i zaczyna rozumieć, że źle wybrał, że kapłaństwo to nie jego powołanie. Podoba mi się, że *summa summarum* w tej relacji zwycięża miłość.

Dodam: miłość do kobiety.

Tak, bo to ona jest tu prawdziwa. Ale nie wyklucza przecież miłości do Boga.

JOANNA KULIG (ur. 1982 w Muszynie) jest aktorką. Po nieudanych egzaminach do Instytutu Jazzu w Katowicach dostała się za drugim razem na Wydział Wokalno-Aktorski w krakowskiej PWST. W teatrze debiutowała w „Śnie nocy letniej” w reżyserii Mai Kleczewskiej. W filmie zagrała m.in. w „Sponsoringu” Małgorzaty Szumowskiej, „Klerze” Wojciecha Smarzowskiego, „Siedmiu uczuciach” Marka Koterskiego. Za rolę w „Zimnej wojnie” w reżyserii Pawła Pawlikowskiego otrzymała Europejską Nagrodę Filmową dla najlepszej aktorki. „Zimna wojna” obecnie uczestniczy w wyścigu do nominacji do Oscara dla filmu nieanglojęzycznego.

Jak katolicka część Pani rodziny zareagowała na ten wątek?

Różnie. Głównie ze względu na *trailer* i żenujące nagłówki w brukowcach. Nie da się ukryć, że był to ciężki moment w moim życiu, gdzie spłycone zostało to, co nigdy spłycone być nie powinno. A ja sama zostałam uprzedmiotowiona. Na szczęście spotkała mnie też masa dobrych opinii, od tych, którzy postanowili film zobaczyć. Dla wielu, tak jak i dla mnie, był to film ważny społecznie. I gdy np. okazało się, że kino w Krynicy nie będzie „Kleru” wyświetlać, ludzie na seanse jeździli do Nowego Sącza. Wytworzył się efekt „zakazanego owocu”.

W Stanach udało się Pani wyciszyć po tych wszystkich trudach?

Zdecydowanie wyhamowałam w okresie świątecznym. Zresztą postanowiliśmy z mężem, że to będzie nasz święty czas odpoczynku, że spędzimy wigilię tylko we dwójkę. Ale nagle okazało się, że w tym czasie do Los Angeles przylatuje z Warszawy 12-osobowy Jazz Band Młynarski-Masecki. Więc oczywiście wszyscy wpadli do nas na kolację. Zebrały się u nas bodaj 24 osoby. Ja z Rafałem Zawieruchą przeczytaliśmy na głosy fragment Pisma Świętego, był opłatek, no i 12 potraw. A później wszyscy śpiewaliśmy kolędy! Sąsiedzi musieli być w szoku.

O północy poszliśmy na pasterkę. Może to ta Kalifornia, może to słońce, ale nastawienie księży jest tu niesamowite. Ich otwartość, radość z posługi jest zaraźliwa. Np. w pierwszych ławkach zauważyliśmy grupę mężczyzn, którzy wyglądali,

jakby co dopiero wyszli z klubu nocnego. Swoim strojem i wyglądem zdecydowanie nie pasowali do kościoła. A ksiądz ogłosił, że z powodu Bożego Narodzenia postanowił przejść się plażą i zaprosić na mszę wszystkich napotkanych bezdomnych. Efekt był taki, że przyszło ponad dziesięć osób. I dla nikogo nie miał znaczenia ich wygląd czy orientacja seksualna. Od całego kościoła dostali gromkie brawa. Taka to była piękna afirmacja miłości do bliźniego. Podczas komunii wszystkie osoby, które z różnych względów nie mogą do niej przystąpić, były zapraszane, aby zamiast niej otrzymać błogosławieństwo. A pod koniec mszy ksiądz zachęcał wiernych: „Gdyby coś wam się nie podobało w naszej wspólnotie, piszcie do nas maile. To dla nas bardzo ważne, gdyż potrzebujemy dowodów, czy dobrze działamy”.

Do którego księdza napisałaby Pani maila?

Do tych wszystkich, którzy zapomnieli, że tyle od nich zależy. Że swoją postawą, częstymi ocenami wiernych, tak naprawdę mogą ich zniechęcić do Kościoła i do samego Boga. Ale wysłałabym też sporo maili pełnych wdzięczności. W Krakowie byłam związana z kościołem dominikanów, którzy mają olbrzymią wiedzę i świadomość psychologiczną. A to właśnie wiedza może skierować wiernego na drogę odpowiedniej pomocy, której oczywiście potrzebuje. Sama byłam świadkiem takich sytuacji. Zwłaszcza brakuje tego na wsiach, gdzie sporo jest wiernych z problemami. I oni, poza kontaktem z księdzem w trakcie spowiedzi, nie mają komu o nich powiedzieć. Gdyby wtedy mogli dostać wskazówkę, co zrobić np. w przypadku alkoholizmu czy przemocy obecnej w domu, ich życie mogłoby ulec poprawie. I dlatego ważne jest, aby do kościoła trafiali ludzie z prawdziwym powołaniem, a nie ludzie z problemami, czego przykładem jest Trybus z „Kleru”.

To problem kluczowy.

Gdy byłam dzieckiem, Kościół stanowił dla mnie centrum wszechświata: życie kręciło się wokół parafii. Należałam do Dziewczęcej Służby Maryjnej. Zbierałyśmy datki na misje i ubrania dla ubogich. Czytałyśmy prasę katolicką, na mszę przygotowywałyśmy śpiewy, w Boże Ciało, specjalnie ubrane, szłyśmy w procesji. Dlatego bardzo dobrze wspominam swoją parafię, to ona tworzyła pewnego rodzaju

rytualność, dawała silne poczucie przynależności. Myślę, że to dzięki temu potrafiłam w dorosłym życiu oprzeć się na wartościach chrześcijańskich i przejść dojrzałą transformację wiary.

A, i za czasów Dziewczęcej Służby Maryjnej poznałam mnóstwo religijnych pieśni.

Ma Pani ulubione?

Wielkopostne, bo są smutne i przeszywające. Lubię też pieśni pogrzebowe, dają inny wymiar. Lubię chorał gregoriański, w ogóle lubię sakralną muzykę. We Francji bywałam w kościele, gdzie grał kwartet smyczkowy. Kiedy oprawa muzyczna jest świetnie przygotowana, to wywołuje silne uczuciowe doznania. Bo za tymi gitarowo-oazowymi śpiewami to nie przepadam. W ogóle, gdy grają byle jak i fałszują, to aż się nie chce modlić. W kościołach brakuje mi dobrej muzyki.

Jeszcze się nie dowiedziałam, czy w tej Ameryce udało się Pani wyciszyć.

Tak. I nie reaguję na brednie, które wypisują polskie brukowce, między innymi ile to ja tu dziennie zarabiam. Tworzą iluzję mojego luksusowego życia i prowokują ludzi do zazdrości. Przecież przyjechałam tu w ciąży, nigdzie nie gram, jestem tu tylko po to, by wziąć udział w kampanii oscarowej „Zimnej wojny”.

„Zimna wojna” jest już na short liście do Oscara i walczy tylko z ośmioma filmami, w tym z „Romą”, za którą Alfonso Cuarón w 2018 r. w Wenecji odebrał Złote Lwy.

Trzymam kciuki, by „Zimna wojna” otrzymała nominację za najlepszy film nieanglojęzyczny. Oczywiście wszyscy rozpisują się o moich szansach na nominację w kategorii aktorskiej, ale powiedzmy sobie szczerze – to raczej się nie zdarzy. Boję się tylko rozczarowania tych wszystkich, którzy w wyobraźni już mi tego Oscara przyznali.

Jak wygląda promowanie „Zimnej wojny”?

Wszystko zaczęło się od New York Film Festival, jednego z najważniejszych festiwali po Wenecji, Cannes, Toronto. Odbywały się na nim liczne pokazy w selekcyjnych kinach, a potem spotkania z członkami Akademii. Zapoznaje się z nimi, podaje się im rękę, bo jak się poda

→ rękę, to jest większa szansa, że cię zapamiętają. Je się lunche z członkami Akademii, rozmawia, czasem są to spotkania na stojąco, czasem na siedząco.

W kampanii chodzi o to, by jak największa liczba członków Akademii zobaczyła „Zimną wojnę”. Mówię do męża, że czuję się jak panna młoda na wiecznym weselu, która chodzi między stołami, przy jednym się zatrzyma i trochę pogada, potem pojdzie do drugiego i do trzeciego – próbuje zapoznać wszystkich ważnych gości. Ale taki system ma też swoje uzasadnienie: w kluczowym momencie, czyli podczas głosowania, członkowie zapisują tytuły i nazwiska na czystej kartce. Muszą więc w odpowiednim momencie pamiętać, kto wywarł na nich największe wrażenie. A przecież filmów walczących o uznanie są setki.

I to Pani wytrzymuje...

Faktycznie całość przypomina wielki wyścig. No, a po drodze trzeba minąć całą masę wywiadów czy konferencji. Generalnie jest to niezwykle doświadczenie, przy okazji bardzo wyczerpujące, bo obowiązki promocyjne mam niemal każdego dnia. Amerykanie mówią na to *awards season* i zalecają, by po Oscarach zrobić sobie miesiąc wakacji.

Ale są tu też chwile zupełnie magiczne. Na przykład prywatny pokaz filmu „Quincy” zorganizowany dla zaledwie 20 osób, na którym miałam przyjemność się znaleźć. No i był też sam Quincy Jones. Powiedziałam mu, jak bardzo jestem wzruszona tą sytuacją; że pochodzę z polskich gór, gdzie kupowałam kasety z Michaeliem Jacksonem czy Steviem Wonderem, których był producentem i aranżerem, a teraz siedzimy sobie ramię w ramię i swobodnie rozmawiamy. Quincy za to opowiadał mi o spotkaniu z Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą. I nagle dotarło do mnie, że siedzę obok żywej legendy, człowieka, który stworzył podwaliny pod współczesną muzykę! Na pokazie była jeszcze 14-letnia dziewczynka. Quincy pytał ją, co sądzi o tym filmie. To jest 85-letni pan, ale wciąż niesamowicie ciekawy świata; chce być na bieżąco i iść z duchem czasu.

Takie małe pokazy dają szansę, by spokojnie porozmawiać. Bo na dużych festiwalach, jak Cannes, to są wyłącznie pokazy, czerwony dywan, flesze, a potem każdy rozjeżdża się w swoją stronę.

A! I jeszcze taki element promocji dla członków Akademii w Los Angeles:

Najważniejsze dla mnie aktorki to te komediowe, pamiętane z dzieciństwa:

Irena Kwiatkowska
i Hanka Bielicka

– **osobowości
same w sobie,
energetyczne i autentyczne.**

ogromne filmowe plakaty zachęcające, by głosować na najlepsze zdjęcia lub najlepszego aktora.

Ja bym głosowała na ścieżkę dźwiękową, która w szczególny sposób buduje nastrój „Zimnej wojny”.

Już po pokazach na festiwalu w Cannes dziennikarze oszaleli na jej punkcie. Wszyscy dopytywali, co to za piosenka to „Oj-oj”. Dlatego tak bardzo się cieszę, że w końcu ukazał się soundtrack z „Zimnej wojny”, o który w swoim felietonie upominał się nawet Elvis Costello. To niezwykle, że nasza muzyka ludowa wydobywa z widzów takie emocje. W charakterystorni przed Q&A na Festiwalu AIF malowała mnie makijażystka z Anglii, a czekał fryzjer ze Stanów. I kiedy ta dwójka słyszała dochodzące z sali kinowej pieśni Mazowsza, miała łzy w oczach. „Zimną wojnę” wtedy po raz pierwszy wyłącznie wysłuchałam i w pełni doceniłam, jakim majstersztykiem jest ścieżka dźwiękowa – dobrze dobrane i zinterpretowane utwory tworzące dramatyczną całość.

Dla mnie majstersztykiem jest scena, kiedy Zula po francusku śpiewa „Dwa serduszka” i uświadamia sobie, że na obczyźnie musi zawierać wyłącznie artystyczne kompromisy.

I może dlatego nie wytrzymała, i pomimo wszystkich konsekwencji postanowiła zostawić Wiktora i wrócić do Polski? A może wróciła dlatego, że nie zniosła emigracji, faktu, że z bycia gwiazdą w Polsce musiała stać się nieznana wokalistką w nowym otoczeniu, bez przyjaciół, języka i tego, co znała? Myślę, że właśnie dlatego Zula tak bardzo się wszystkim podobła, to prawdziwa *femme fatale*, kobieta, z którą nigdy nie osiągnie się spokoju. Ale będąc w Stanach już kilka miesięcy, zda-

rzało mi się myśleć o Zuli i może trochę bardziej ją zrozumieć? Na zewnątrz może wyglądać, że świetnie mi tu idzie, ale w środku czasem bardzo się denerwuję, chcąc wszystkiemu sprostać najlepiej, jak potrafię. Mam w sobie dużo radości, ale też tyle samo strachów i kryzysów.

W życiu artystycznym jest sporo nieprzewidywalności – angażujemy się w coś, myślimy, że będzie świetnie, a później okazuje się, że to wcale świetne nie jest. Im dłużej jestem aktorką, tym wyraźniej widzę, że dobrze jest się skupiać na prostych rzeczach. Sukces ma swoją cenę... Po pobycie w Cannes długo nie mogłam dojść do siebie. Zadzwoiła do mnie Agatka Kulesza, a ja się popłakałam. Ona mówi: „Asia, to jest normalne, sukces jest fajny, ale jednocześnie potwornie stresuje. Popłacz sobie, wiem, co przeżywasz. Wyłącz telefon, wypierz firanki i umyj okna. To zawsze pomaga”.

Posłuchała Pani?

Posłuchałam. Ale przeszło mi dopiero, gdy zaczęłam oglądać w telewizji programy o delfinach. Nie umiałam się sama przed sobą przyznać, że cieszę się, ale że jednocześnie mam ogromny psychiczny stres. Prawa sobie nie dawałam, by puścić – bo jakbym mogła to zrobić, skoro wszyscy wkoło nim żyją.

Emocje dla aktora mogą być szkodliwe?

Bardzo. Na pewnym etapie swojego życia byłam emocjonalnie rozchwiana, podobnie jak Zula. W szkole teatralnej cały czas wchodziłam w emocje rozbuchane. Jak płacz, to na full, jak radość, to też na full, a jak smutek, to dół totalny – te amplitudy mnie wykańczały. Aktorstwo potrzebuje granic.

Dobrodziejstwem jest to, że ułożyło mi się życie prywatne. Mój mąż jest zrównoważonym człowiekiem. Śmiejemy się: on mówi, że całe życie myśli o przyszłości, a ja myślę o przeszłości.

Kto Panią nauczył stawiania tych aktorskich granic?

Krzysiek Globisz był moim mentorem. Gdy grałam w swoim pierwszym filmie, pisałam do niego esemesy, gdy z czymś nie mogłam sobie poradzić. A on mi dawał takie wskazówki. W szkole teatralnej miałam zajęcia z Anną Polony. To twarda i jednocześnie elektryzująca osobowość, przepełniona pięknem i zamiłowaniem do poezji. Na zajęciach z Polony patrzyłam

na nią z zachwytem i myślałam: „Boże, ta kobieta to jest fenomen”. Pamiętam, że zawsze na zajęciach dobierała mi specyficzne role: ponieważ jestem energiczna, kazała mi grać np. flegmatyczkę. Gdy wykonałam szybszy krok, natychmiast mnie karciała. Ale najwięcej nauczyłam się od aktorów w Starym Teatrze. Do dziś mam kontakt z Anią Dymną, Dorotą Segdą, Małgorzatą Hajewską-Krzysztofik. Bardzo ważny jest dla mnie kontakt z kobietami dojrzałymi i doświadczonymi.

Jeszcze jakieś ważne kobiety?

Mama. Gotowała dla dzieci w przedszkolu. Chciała być pielęgniarką, ale nie udało się – ma kłopoty ze wzrokiem. Ale zawsze chętnie i z oddaniem opiekowała się starszymi osobami, swoimi rodzicami czy dziadkami. Mama jest ciepła i ma dużo serca. Była wychowana w ogromnej otwartości na świat. I chociaż jest osobą religijną, nigdy w swojej wierze nie była radykalna. A z tym przecież różnie bywa, szczególnie w górach... Myślę, że po mamie odziedziczyłam empatię, optymizm, ale też pracowitość plus pozytywne nastawienie do człowieka.

A ważne aktorki?

Komediowe, te z dzieciństwa: Irena Kwiatkowska i Hanka Bielicka – osobowości same w sobie, energetyczne i autentyczne. I jeszcze Lauren Bacall – ona była moją inspiracją w budowaniu postaci Zuli w „Zimnej wojnie”. Paweł Pawlikowski prosił, bym oglądała dużo filmów z Bacall. Gdy byłam zbyt ekspresyjna, to przywoływał mnie do porządku: „Aśka! Lauren Bacall!”. Od razu zmieniał mi się rodzaj energii do gry, przez to postać zyskała ciekawszy odcień.

A gdy Pani myśli o 2019 roku, to co pierwsze przychodzi Pani do głowy?

Że stanę się matką, jak wszystko dobrze pójdzie. Zaczyna się nowy rozdział mojego życia, przepełnia mnie radością. Chciałabym w 2019 r. pobyć w Krakowie. W tym mieście spędziłam 11 lat, tu skończyłam średnią szkołę muzyczną i szkołę teatralną, tu grałam w Starym Teatrze. W Warszawie jestem od siedmiu lat, ale głównie skupiam się na pracy. Duchowo i artystycznie związana jestem z Krakowem, w ogóle z Małopolską. Tam są moje korzenie, tam się wszystko zaczęło.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA